

OSTATNIE SŁOWO

13 luty Anno Domini 1636, Breslau

Do ciemnej i wilgotnej celi w lochach miejskiego więzienia, przez zakratowane okienko, przedarł się pierwszy promień świtu. Leżała na przesiąkniętej krwią i odchodami słomie, odrętwiała z zimna i bólu. Szczury, nie widząc w niej już żywego człowieka, biegały dookoła, nie bojąc się wcale. Śledziła pustym wzrokiem ciepłe promienie, które przesuwwały się pod łukowymi sklepieniami i marzyła, by przed śmiercią choć jeden z nich zdążył jeszcze dotknąć jej skóry.

Tak oto rozpoczął się ostatni dzień jej życia.

xxx

Trzy tygodnie wcześniej

Ciężkie, drewniane drzwi Kancelarii Rady we wrocławskim Ratuszu rozwarły się, skrzypiąc przeraźliwie. Do słabo oświetlonego pomieszczenia wszedł odziany w czerń mężczyzna w podróźnej opończy.

– Spóźniłeś się, Lorentz.

– Proszę o wybaczenie Wasza Ekscelencjo, Herr Bürgermeister – przybyły złożył głęboki ukłon w stronę postawnego mężczyzny, który stał odwrócony plecami i wyglądał przez strzeliste okno. Skinął burmistrzowi, krzywiąc się w duchu. Burmistrz von Rothke był wyraźnie zdenerwowany, na zmianę kręcił młynki kciukami i wyłamywał palce, przez co jego dłonie wyglądały jak spocone, rozbiegane pająki. Martin Lorentz, biskupi prokurator, brzydził się strachem. – Nie idzie przejechać konno ulicami, tyle gawiedzi ściągnęło na karnawał. Zanadto rozpuszczanie swych mieszczan, Rothke – zwrócił się do burmistrza, który wyraźnie pobladł. – Psujecie im głowy tymi hulankami. Gotowi jeszcze pomyśleć, że to nic złego wyszydzać biskupów i królów, a to godzi w boski porządek i zasiewa ziarno zgnilizny moralnej.

– Ależ to tylko takie wygłupy te maskarady i parodie... Trochę wesela po trudnej zimie, sami wiecie, my tu wciąż odczuwamy skutki wojny. Wielu mieszkańców popadło w nędzę przez wysokie podatki... Niechże się ludzie trochę zabawią... – bronił się Rothke.

– Ciężka praca Bogu jest miła, a nieprzystojne obyczaje diabłu – odrzekł Lorentz chłodno.

– Obawiam się, że diabeł inne ma tym razem plany.

Wrocławski biskup pomocniczy Johann Balthasar Liesch von Hornau oderwał wzrok od roztańczonej na rynku gawiedzi i zwrócił się do prokuratora.

– Posłałem po ciebie, Martinie, bo zasługi twe i skuteczność w zwalczaniu plugawego procederu czarownictwa nie mają sobie równych w całym Księstwie Nyskim.

– Służę, Wasza Ekscelencjo – Lorentz skłonił się z szacunkiem.

– Wrocław penetrują sługi szatana i obowiązkiem naszym jest stanąć w obronie nieśmiertelnych dusz jego mieszkańców. Szerzą się doniesienia o sabatach czarownic, rzucaniu uroków i zaprzedawaniu się diabłu w zamian za dobra doczesne. Ludzie zaczynają się bać. Kupują szarlatańskie amulety, miast w kościołach datki składać i boskiej zawierzać opiece. Demoralizacji tej mus nam się, w imię Pana, przeciwstawić. Tych, co w konszachtach z szatanem są – zniszczyć. Podszepty diabelskie lud trapiące jak łby węzowe zdeptać.

– Strach przed diabłem dobry jest i pożyteczny, gdy do Boga prowadzi, miast do zabobonów. Wszelkie zaś powinowactwo z piekielnymi siłami karane winno być z pełną surowością – odrzekł usłużnie Lorentz.

– W rzeczy samej. Coraz więcej donosów z oskarżeniami o pakt z diabłem wpływa do Kurii. Dość już tej hysterii. Musimy odpowiedzieć z pełną mocą, pokazać, że do tego

świętego miasta złe siły nie mają przystępu, a zakazane praktyki brutalnie tępione będą. Dlatego ty zajmiesz się świeżą sprawą. Chcę, by wiadomo wszem i wobec, że nyski *Malleus Maleficarum* przybył do Wrocławia zrobić z czarownikami porządek.

– Wielki to dla mnie zaszczyt. Kim jest aresztowany?

– To kobieta, dziewczyna właściwie, służka w domu Petera von Wickler, który prowadzi „Aptekę pod Podwójnym Złotym Orłem” – wyjaśnił Rothke, podając Lorentzowi dokumenty.

– Powód aresztowania?

– Czarownica. Ale panie prokuratorze... To zwykła dziewczuszka, znam ją osobiście. Z lekami na posyłki czasem biega, i u mnie nieraz była...

– Uważaj, Rothke, bo i ciebie na spytki wezmę – Lorentz posłał burmistrzowi nieprzyjazne spojrzenie. – Była już przesłuchiwana?

– Była, była, i nie przyznała się do winy – wtrącił von Hornau – dlatego liczę, że twoje metody śledcze okażą się skuteczniejsze. Przekaz musi być jasny: żadnym diablom pomiotom nie przepuścimy. A jak będzie trzeba, to wyprawimy ludowi karnawał, jakiego nie zapomni! Do pracy, Lorentz – dodał, wychodząc z sali.

– Niezwłocznie, Wasza Ekscelencjo.

Gdy drzwi się zamknęły, prokurator rzucił krótko:

– Na męki ją dać.

xxx

Wiść o procesie niesławnej czarownicy rozeszła się szybko i Sala Sądowa zappełniła się ciżbą, chcącą na własne oczy zobaczyć upodlenie wiedźmy. Gdy dzwon wieży ratuszowej wybił południe, na podwyższenie wkroczyli sędziowie i zasiedli za długą ławą. W sali zapadła pełna napięcia cisza.

– Wprowadzić oskarżoną.

Zgromadzeni zwrócili się ku drzwiom, przez które wkroczyło dwóch strażników, ciągnąc pod ramię drobną, kościstą dziewczynę, odzianą jedynie w brudne giezło. Obcięte przy skórze czarne włosy sterczały gdzieniegdzie nierównymi, posklejanymi krwią kępkami. Skrępowane sznurem dłonie spuchły straszliwie, posklejane szerniałymi strupami. Prawą stopę, owiniętą brudnym gałganem, ciągnęła za sobą. Przez giezło na wysokości piersi przesączała się żywa krew. Strażnicy odstawili dziewczynę na środek sali, a ta, nie mogąc ustać o własnych siłach, osunęła się na kolana.

Tłum zafalował. „To jest ta straszna wiedźma? To jeszcze piskłę przecie!” dało się słyszeć szepty, jednak twarze sędziów i prokuratora pozostały niewzruszone. Tylko rajca miejski, lekarz Johann von Krafftheim, na widok ran dziewczyny poczerwieniał z gniewu.

– Ewa Bauer. Lat siedemnaście. Służąca w domu państwa von Wickler. Oskarżenie wnosi pani Jutta von Wickler. – Zasiadająca w pierwszym rzędzie ław postawna dama o surowej fizjonomii skinęła lekko głową, uczipiona ramienia męża. Aptekarz Peter von Wickler z obojętnym wyrazem twarzy wbijał wzrok w podłogę.

– Zarzuty?

– Oskarżonej zarzuca się uprawianie czarnej magii i wystugiwanie diabłu. Z jego polecenia oskarżona uwodziła prawych mężów, coby dobre chrześcijanki pognębić. W tym celu okradała zasoby apteczne swego pracodawcy i sporządzała wiedźmie kokkety, by ofiary swe nimi tumanić. Ponadto warzyła trucizny i sprzedawała kobietom, by truły swych mężów.

– Ależ to absurd jakiś! – Zabrał głos jeden z ławników, mistrz ciesielski Otto Scheffer. – Panienka Ewa, jeśli widziana była z jakimiś miksturami, to z pewnością dostarczała zamówione medykamenty! Czy jest jakiś świadek tych rzekomych występków?

– Mamy dwóch świadków – uśmiechnął się Lorentz. – Wzywam Urszulę Fisher, kucharkę państwa Wickler.

Skromnie ubrana, na oko dwudziestopięcioletnia dziewczyna stanęła naprzeciwko ławy sędziowskiej. Spojrzała z przestrachem na Lorentza, a ten dał jej znak, by mówiła.

– Widziałam na własne oczy, jak Ewa dosypywała coś do talerza ze strawą, który miała zanieść Panu Wicklerowi.

– I to wszystko? – uniósł się Scheffer. – Zupę doprawiła? Może mdło gotujesz? – roześmiał się rubasznie.

– N-nie... – wyjąkała Urszula, czerwona jak jesienne jabłko. – Widziałam, jak w bramie do podwórza wręczała komuś jakieś magiczne specyjały!

– Zaraz magiczne, a może zwyczajne? To niczego nie dowodzi, a już na pewno nie konszachców z diabłem.

– Widziałam, jak Ewa unosi się nad podłogą!

W sali wybuchła wrzawa. Jeden z sędziów przywołał zebranych do porządku, wałąc młotkiem w stół.

– Kontynuuj – rzucił Lorentz.

– Najświętsza to prawda! Zaszłam ja raz w nocy do kuchni, chciałam li tylko wody się napić, a tam ona! – Wskazała palcem na oskarżoną, ośmielona już całkiem. – Unosiła się nad podłogą by duch jaki, z rękoma ku górze wzniesionymi, i szeptała jakieś obce słowa, diabelskie! To czarownica!

– Czy oskarżona ma coś na swoją obronę? – wszystkie oczy skupiły się na skulonej na posadzce dziewczynie.

– Nie mam – dobył się słaby, ledwo słyszalny głos.

– Wiedźma! – wrzasnął ktoś z tłumu, a zaraz zawtórowali mu inni.

– Cisza! – młotek ponownie poszedł w ruch.

Gdy tłum uspokoił się nieco, Lorenz przemówił:

– Wzywam drugiego świadka, Barbarę Engel, sąsiadkę oskarżonej!

Przed ławą sędziowską stanęła pulchna kobieta w średnim wieku o łagodnej, ciepłej aparycji, i bez zbędnej zachęty, rzekła:

– Chata moja nieopodal wiedzniej stoi. Widywałam ja nieraz, jak z kozłami nocą na pastwiskach tańcowała, a co księżyc w pełni, na widły siadywała i na Ślężę latała! Krowy we wsi pozaklinała i krew z wymion dawały miast mleka! A psa, co na nią szczekał, samym jeno wzrokiem utłukła! Jam widziała! – Barbara uśmiechnęła się miło, gdy na sali ponownie rozległy się krzyki.

– Czy oskarżona ma coś na swoją obronę?

Ewa podniosła głowę i spojrzała na sędziów oczami błękitnymi jak wody leśnych strumieni.

– Nie mam – odparła, a po jej twarzy potoczyły się gorące łzy.

Nagle z miejsca powstał rajca von Krafftheim i huknął:

– Czy wyście rozum zatracili? Widzieliście stan tej dziewczyny? Po takich torturach i ja bym przyznał, że na miotle do pacjentów latam! Przecież to niepodobna w takie brednie wierzyć, żyjemy w erze nauki i rozumu, i...

– Wystarczy! – krzyknął Lorentz – Czy oskarżona przyznaje się do winy?

W głuchej ciszy, jaka zapadła, mogłoby się zdawać, że cały Wrocław wstrzymał oddech.

– Przyznaję się.

– Ewo Bauer, sąd znajduje cię winną bycia czarownicą, uprawiania zakazanych praktyk i obcowania z diabłem. Karą za te przewiny jest śmierć na stosie!

I do wtóru wiwatów, wywleczono ją z sali.

Z ciężkich chmur sypał drobny śnieg, gdy doprowadzono Ewę do stosu. Biskup von Hornau, prokurator Lorentz, burmistrz oraz kilku rajców czekało już w towarzystwie mistrza małodobrego i gęstego, podnieconego tłumu. Dookoła rozbrzmiewała wesoła muzyka, pijane okrzyki i wrzawa ulicznej zabawy – trwał bowiem karnawał. Akrobaci, zonglerzy i przebierańcy przekrzykiwali się ze sprzedawcami straganów jarmarku, lecz nic tak nie przyciągało uwagi, jak wysoki na blisko dwa metry stos przed wrocławskim Ratuszem.

Gdy na wpół nieprzytomną z bólu, odzianą we włosienicę Ewę przywiązano do słupa na podeście stosu, gawiedź przycichła nieco, gotowa na wyczekiwany spektakl. – Oto wielkie zwycięstwo Pana Naszego, gdy nad szatanem tryumfuje, a my wierni słudzy winniśmy niestrudzenie zło w imię Jego wypleniać! Ewę Bauer, czarownicę, diabłą miłośnicę, osądzoną w sprawiedliwym procesie, ku chwale Pana na śmierć w płomieniach skazujemy! – zakrzyknął Lorentz, po czym zwrócił się do Ewy:

– Czy żałujesz swych grzechów i wyrzekasz się diabła?

– Nie!

– Niechaj więc święty ogień oczyści cię z plugastwa! – prokurator dał znak katu, a ten podłożył płonącą pochodnię pod polany smołą stos. Drwa momentalnie zajęły się, ogień buchnął wysoko i otoczył dziewczynę. – Jakieś ostatnie słowo, wiédźmo?!

Ewa uniosła oczy ku niebu i roześmiała się, wołając:

– Już się wyrzekło!

Naraz wiatr uderzył w stos z wielką mocą, roznosząc płonące polana na pobliskie budy. W oka mgnieniu stragany zajęły się ogniem, wciąż szaleńczo rozdmuchiwanym przez wściekłą wicher. Tłum ogarnęła panika. Najpierw zajęła się czapka błazna, a potem sam błazen, wrzeszcząc straszliwie. Ciżba próbowała się rozbiec, lecz nie było dokąd uciekać. Płomienie z prędkością błyskawicy przeskakiwały z kramów na ludzi, z ludzi na budynki i w końcu cały rynek ogarnęła szalejąca pożoga.

Ratusz płonął jak pochodnia.

13 luty Anno Domini 2025, Wrocław

W instytucie historii sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego, pod salą wykładową na trzecim piętrze, studenci czekali na popołudniowe zajęcia. Lekko spóźniony profesor, precyzyjnie przecisnąwszy się przez tłum otworzył salę, i grupki rozgadanych studentów wwały się do środka. Wkrótce światła zgasły, rozmowy przycichły, a projektor wyświetlił pierwszy slajd. – Wracamy do tematu architektury wrocławskiego rynku w XVII wieku, kiedy to w wyniku licznych pożarów znaczna część kamienic i Ratusza zostały mocno zniszczone i przebudowane. Szczególnie nieszczęśliwym wydarzeniem była pożoga z 1636 roku, która strawiła...

W ostatnim rzędzie sali wykładowej, studentka o czarnych włosach i oczach błękitnych jak wody leśnych strumieni, pomyślała: „Cóż to było za widowisko!” i uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

